

novum ex aurora

–odyssey–

Piotr Kulwanowski

Dedykacja

Wiele historii mówiło już „kocham”, jednak wartość tego słowa może zdefiniować jedynie to, co do niego doprowadziło i co dzięki niemu zaistniało, niosąc nas dalej. Tylko tak słowo „kocham”, jak każde inne, tworzy historię i zyskuje nadaną mu wartość. Tą książkę dedykuję Tobie, Lilianno, ponieważ jesteś najcudowniejszą historią, której mogę być częścią. Kocham Cię.

tata

Prolog

Niektórzy pod naciskiem zmieniają się w diamenty lub nikną, kruszejąc. Ona, łapiąc oddech, siedziała na podłodze, oparta o ścianę, do której chwilę temu z trudem się doczołgała. Miała na sobie bojowy kombinezon przeciwprzeciążeniowy i specjalny hełm stanowiący uzupełnienie całego ekwipunku. Nie miała czasu i siły, żeby go zdjąć. Skupiała się na tym, by złapać głębszy oddech i go ustabilizować. Była wyczerpana. Na siatkówce jej oka wyświetlało się ostrzeżenie o przeciążeniu organizmu, wskazując na krańcową niewydolność serca. Na matowy, spękany i powgniatany siłą ciosów hełm padało stłumione światło z ciągnących się po suficie lamp. Przywoływało ją, ale robiła wszystko, by nie ulec wrażeniu, że się w nim zapada.

Była półprzytomna, jednak co chwilę wybudzała się z letargu, podnosząc ku górze ociężałe spojrzenie i uświadamiając sobie, że musi w końcu wstać. Nie były to rozważania „czy?”, ale „jak?”. Ilekroć próbowała, jej ciało odmawiało posłuszeństwa, a oddech był bardzo nienasycający. Czuła ograniczenia organizmu, który, jeszcze chwilę temu rozgrzany i gotowy do walki, teraz stygł i kamieniał. Potrzebowała chwili, by wszystko wróciło do normy, by mięśnie znów się rozgrzały, a ścięgna stały się bardziej elastyczne, jednak kontrolka nie wyłączała się, nie tak jak ostatnio, co wskazywało na jej pogarszający się stan. Oddychała coraz bardziej łapczywie i nieregularnie. Z trudem się przełamała i uniosła po raz kolejny wzrok. Dostrzegła coraz wyraźniejsze kontury znajdujących się w oddali postaci. Zamknęła mocniej oczy, oddając się wewnętrznej walce. Starła się uspokoić ciężki oddech i złapać jakiś jednostajny rytm, by nie uruchomić procedur stabilizujących, które – włączone teraz – odebrałyby jej szansę na walkę. W głębi serca wiedziała, że może już wybierać tylko pomiędzy złych decyzji. Na końcu zawsze chcemy mieć wybór, chcemy, by cokolwiek od nas zależało.

Marzyła o chłodnej wodzie, którą mogłaby przemyć twarz i kark. Czuła niemal fizycznie to spływające po skórze pozornie paraliżujące zimno, które przynosi iluzję zmniejszania się opuchlizny, zaś jej skóra niemal traciła przeciążające ją ciepło.

Spojrzała na swoje dłonie. Czuła pod grubymi rękawicami obite palce i knykcie. Po chwili ból promieniował niemal zewsząd. I mimo że była do tego przyzwyczajona, to przychodząca słabość zawsze zbierała takie samo żniwo. Teraz mogła już tylko przeciągać to wszystko w czasie, jednak istniała skończona ilość ciosów, które była w stanie zadać i przyjąć. Z każdą kolejną sekundą jej czas się kończył. I choć uległa znaczącej sile wroga, to czuła, jakby poddawała się słabości. Była wściekła na wynik walki, na swój oddech, na pulsującą kontrolkę.

Jej przeciwnicy stali spokojnie, niewzruszeni. Nie potrzebowali przerwy, nie stracili oddechu, jak ona. Po prostu byli tam i pozwolili jej odpocząć po druzgocącej klęsce, dawali szansę, by spróbowała ponownie. Dla niej ta chwila była najważniejsza na świecie. Dla nich nie była niczym więcej niż kolejną, prostą walką.

Czuła, jak jej oddech staje się coraz bardziej niepewny i zawodzący. Ze wszystkich sił starała się nad nim zapanować, wykonując ćwiczenia wspomagające – wdech i długi, miarowy wydech. Jednak każda z prób kończyła się dostarczeniem niewystarczającej ilości powietrza i nierówną, niemal chaotyczną pracą serca. Mimo przegranej, robiła wszystko, by nie pokazać na zewnątrz stanu, w jakim się znajdowała. Wiedziała, że powinna znów wstać i walczyć, jednak upokorzona wołała tysiąc razy umrzeć niż musieć teraz stawiać naprzeciw nich, we wstydzie. Dla nich była już niczym niegroźny gryzoń, którym drapieżnik bawi się, nim go pożre.

Dźwięki kontrolki stawały się coraz głośniejsze. Położyła dłonie na nogach i wciąż walczyła ze swoim ciałem, próbując wyrównać oddech. Nie była jednak w stanie wygrać. Na siatkówce oka wyświetlał się uruchamiany skrypt. Po chwili obok czerwonego powiadomienia pojawiło się kolejne: „Zagrożenie życia: uruchamianie procedur awaryjnych w toku”.

„Nie” – powiedziała w myślach między kończącą się i rozpoczynającą walką o kolejny haust powietrza. Wierzyła, że da radę bez nich. Po kilku sekundach ostrzeżenie zniknęło, a ona powróciła do górujących nad nią świateł. Wszczepiona w jej ciało siatka nanitowa dokonała wyrzutu inhibitorów fosfodiesterazy oraz leków beta-adrenolitycznych. Zaraz po tym uruchomiły się generowane przez siatkę komponenty wspomagające pracę komórek serca. Odzyskiwała siły, czując, że nie należą do niej. Ta myśl rozlała się po jej całej duszy, przepełniając ją gniewem. Nagle, w błysku rodzącej się złości, powstała.

– Kurwa – powiedziała cicho.

Niczym bezbronne dziecko stanęła naprzeciw najgorszej prawdy: zrozumiała, że wciąż jest za słaba. Osiągnięty przez nią poziom siły i prędkości, mimo że imponujący, wciąż był zbyt niski, by mogła dorównać wrogom. Wierzyła, że jej granice będą sięgać dalej, że po tym wszystkim będzie w stanie znieść więcej. Procedury awaryjne na krótko stabilizowały krążenie, wprowadzając korektę ciśnień, przepływu krwi oraz siłę i prędkość skurczy serca. Efektywność kolejnych uruchomień była skończona – w pewnym momencie przestaną działać, a ona nie będzie w stanie dłużej walczyć.

Stojący w oddali mężczyźni patrzyli na nią. Nie interweniowali, byli pewni swego, po prostu lubili dawać złudne poczucie szansy. Ona spojrzała w ich stronę i zrezygnowana poczuła, że niezależnie od setek pokonanych przeciwności doszła do miejsca, w którym to nic nie znaczy.... Mimo ogromnego poczucia porażki, nie chciała mu ulec. To nie był czas na konfrontacje z samą sobą. Wiedziała, że nie może się zatrzymać, że walczy o coś więcej.

Zaczęła iść w stronę przeciwników. Niegdyś, za młodu, potrafiła pędzić z niepochamowaną prędkością, teraz z obawą dobierała prędkość kroków. Skracający się dystans był niczym podróż przez nie mający końca korytarz, który niknął i rozmywał się w ciemności. Była sama, skoncentrowana na celu. Mimo że przeżyła już wiele takich chwil, to ta swym ciężarem zdawała się umniejszać każdej innej. Wiedziała, że to nie może być koniec, że musi ich pokonać. Idąc, wykonywała wolne ruchy rękoma, próbując je rozluźnić, dodać im zwinności, która mogłaby przełożyć się na elastyczność i siłę ciosów. Robiła to, czując podświadomie daremność swych działań.

Czuła rosnące wahanie, które z całych sił chciała przezwyciężyć. Pragnęła, by krążące wokół niej uczucie nadziei nie pozwoliło jej zwątpić i dało siły. Przed oczyma jawił się jej ciąg zdarzeń, uzmysławiając, że czasem próbujemy po prostu walczyć ze swoją niemocą i ograniczeniami, jednak wnikamy w miejsca i zdarzenia trzymające nas na uwięzi. Jednocześnie nie możemy odejść ze względu na konsekwencje. I choć prawda

ta zmieniała ją bezpowrotnie, wiedziała, że była to jedyna droga, którą mogła i chciała dalej podążać, by walczyć zarówno o siebie, jak i o odzyskanie tych, których utraciła.

Była coraz bliżej, jej oddech odzyskał miarowość i płynność. Wiedziała, że nie może go stracić po raz kolejny, że to ostatnia szansa, ostatnia próba powstrzymania tego, co prawdopodobnie jest nieuniknione. Skupiła się na tym prostym uczuciu przepływu powietrza i wokół niego budowała swoją moc. To w nim odnajdywała na nowo siłę mięśni i zwinność ścięgien, tylko dzięki niemu mogła mieć szansę. Cała jej świadomość definiowana była przez oddech, przez idący za jego sprawą balans. Był jak drogowskaz, jak ostatnia szansa. Szła dalej, coraz mniej ociężała, odzyskując rytm. Jej kroki stawały się bardziej elastyczne i wyważone. Spojrzała na wrogów i zacisnęła pięści, jeszcze wyraźniej czując pulsującą nadzieję, wierząc, że nie zaniknie ona gdzieś pomiędzy nowym i starym, że będzie miała szansę dotrzeć do celu. Jej serce w tej chwili nie chciało niczego więcej. Powietrze wypełniła elektryzująca siła spojrzeń. Wiedziała, że jeśli przegra, to wszystko przepadnie i nie będzie odwrotu.

Jeden z mężczyzn zrobił krok do przodu, zmniejszając dystans. Zaraz dołączył kolejny. Ona szła dalej, starając się uwolnić od lęku. Za kilka chwil musiała być gotowa na wszystko, skupiona na każdej sekundzie, jakby w każdej odbywała się trwająca tysiące lat walka. Nie mogła zawieść, jej serce nie mogło się za bardzo rozpędzić, a mięśnie nie mogły pracować zbyt wolno. Wiedziała, że da z siebie wszystko.

– Uratuję go – powiedziała do siebie cicho, jakby składając obietnicę, bez wahania, czując rosnącą i kumulującą się pewność siebie.

Ruszyła! W tysięcznych częściach sekundy osiągnęła prędkość dźwięku. Nim powstał rodzący się grom, oplotła ją świetlista, energetyczna łuna. Jej nadzieja nie była już tylko refleksami utraconej wiary, ale determinowała wszystko. Wiedziała, że walczy o coś więcej, o więcej niż jedno życie.

Błyskawicznie osiągnęła cały potencjał mocy! Niesiona sonicznym gromem wyprowadziła najsilniejszy z ciosów, wiedząc, że nie może odkładać sił na później, bo istnieje tylko tu i teraz.

I: Otwarcie

Rozdział 1 [Repo A]: Nikt nie zna dnia ani godziny

Planeta: Repo A

Szok wybudzał go ze zmęczenia, wzrok nabierał ostrości, a jego rozdygotane ręce odzyskiwały sprawność, zapinając guziki munduru. Materiał stawał się bardziej opinający i zwarty, wchłaniał krople zimnego potu. Siedział w aucie i pozwalał się wieść do celu. Pobudzenie strachem przechodziło w złość i troskę. Te dwa uczucia rozbiegały się w przeciwne kierunki, łapiąc zarysy i kontury postaci, by stawiać je przed jego oczyma. Z jednej strony był Sebastian, brat, którego obejmował sercem najczulej jak potrafił. Z drugiej był Dax Union ze swoim separatystycznym ruchem Union All, którego pragnął rozszarpać na strzępy bez względu na cenę. Uczucia te wzajemnie przebijały się siłą oddziaływania. Za tym poszły ciosy pięścią w dach i drzwi pojazdu, którym jechał do szpitala. Niższy stopniem kierowca nie reagował i pytał sam siebie, co by zrobił, gdyby to jego brat mógł zginąć w zamachu terrorystycznym.

Obok Roberta Lagrande siedział jeden z członków rady – on również nic nie mówił. Nie ma nic gorszego niż tłumione uczucia, niż próba okiełznania myśli, nad którymi nie da się zapanować, jakby napierająca siła spotkała nieugiętą barierę i każda z nich kontrowała z ogromną mocą. Sam Robert wiedział, że ten wir, ta fala emocji musi się przez niego przetoczyć, musi się w niej niemal utopić, by przeżyć – umiał kontrolować

emocje. Miał swoje sposoby na wykorzystanie tej wściekłości i przekucie żalu w oręż zniszczenia.

Oddychał głośniej, zamknął oczy, starał się opanować. Nie próbował tłumić szalejącej w nim siły, a jedynie obudować ją klatką, by zminimalizować szkody, by nie stracić skupienia, nie poddać się emocjom wpływającym na decyzyjność. Mocniej ścisnął powieki, jego pięści zaciskały się. W przeblyskach pojawiły się strzępy niezrozumiałych obrazów, za którymi ruszyła wściekłość i rządziła mord. Otworzył oczy i zaczął wyprowadzać ciosy, okładając dach, drzwi i fotel przed sobą. Atakował każdą fizyczną materię, którą napotkać mogły jego pięści, chcąc roznieść ją na atomy! Za tym poszedł krzyk, potem kolejny grad ciosów!

– Robert! Przestań! – krzyknął w końcu współpasażer.

Kierowca siedział cicho. Czuł uderzenia, ale postanowił skupić się na jeździe. Lagrande przerażał go siłą i postawą. Teraz unikał jego wzroku niczym wystraszone, zaklinające rzeczywistość dziecko: gdy nie widzę potwora, to on nie istnieje. Jednak nawet nie patrząc, można było wyczuć esencjonalną, surową siłę, wyszkoloną i zapakowaną w wojskowy mundur, który miał sprawić, że mężczyzna znajdzie w sobie dość ogłady i hamulce, by nie masakrować wszystkiego wokół. Należał do elity i odbył mnóstwo szkoleń i misji wojskowych za granicami miasta, jednak czasem trudno się pohamować, nawet jeśli tego uczono. Robert na moment przestał. Oddychał ciężko, zaś jego serce uderzało mocno – jakby za więcej niż jedno życie.

Atak furii ustawał, Lagrande doprowadził się do ładu, ponownie poprawił mundur, zamknął oczy i ostatni raz uderzył z całej siły w fotel przed sobą, wyłamując go z mocowania! Kierowca tylko delikatnie odrzucił uszkodzoną część do tyłu, by cała konstrukcja jakimś cudem umocowała się w resztkach zniszczonych zaczepów.

Odpuścił, zarzucona na emocje klatka starała się powstrzymać tę wewnętrzną bestię lub przynajmniej odłożyć w czasie punkt kulminacyjny kolejnej fali złości.

Po chwili wysiadł z pojazdu, wyciągnął z kieszeni opakowanie z tabletkami spinercjum, wybrał jedną i połknął ją, a następnie zaczął iść w stronę szpitala. Przed wejściem czekało sporo dziennikarzy, którzy starali się dowiedzieć czegoś, co mogliby podać w wiadomościach i relacjach na żywo, by zwoływani *ad hoc* goście w studiach mogli teoretycznie dyskutować nad teoretycznymi tezami stawianymi przez teoretyzujących współrozmówców.

Rumor i hałas, błyski fleszy i krzyki. Przepychanki i wzajemne napieranie na siebie przypominać zaczynało bardziej walkę bezradnych zwierząt miotających się nad ochłapami pozostawionymi przez drapieżnika niż cokolwiek ważniejszego.

Robert sięgnął ręką do kabury po półautomatyczny, plazmowy, samopowtarzalny karabinek. Chciał oddać kilka strzałów ostrzegawczych w powietrze, by rozgonić tłum. Podejmując decyzje, ostatnią rzeczą, o której myślał, były ich konsekwencje. Nagle za jego dłoń złapał współpasażer – członek Rady.

– Nie rób tego, ludzie oszaleją.

Robert zatrzymał się w pół ruchu i spojrzał na wystraszonego kierowcę.

– Włącz syreny, nie mam czasu na to gówno.

Mężczyzna wykonał polecenie. Pulsujący hałas przez chwilę dominował nad okolicą, po czym ucichł. Robert wyciągnął rękę po mikrofon.

– Rozejść się, natychmiast. Ten szpital to teren wojskowy! – Rozejrzał się. Zobaczył kilku żołnierzy przygotowujących się do ustawiania barierek przed wejściem i dodał.
– Ruchy, odgrodzić teren!

Oddał mikrofon kierowcy i zaczął iść w stronę drzwi. Nikt nic nie mówił, nikt nie odważył się zadać jakiegokolwiek pytania. Zaraz za nim pojawili się żołnierze, którzy ogrodzeniem zepchnęli dziennikarzy do strefy buforowej.

Wszedł do budynku i cała złość zmieniła się w bezradność, a dopasowany mundur zdawał się teraz rozjeżdżać. Każdy kolejny krok przypominał stąpanie po rozwarstwiającej się rzeczywistości, przez którą trzeba przejść, a która kruszeje, nie wytrzymując naszej obecności. Jeszcze przed kilkunastoma minutami w pełni panował nad swoim życiem. Czuł moc, siłę i pozycję. Niósł z dumą sztandar zwycięstw i nigdy nie uciekał przed konsekwencjami porażek. Teraz to wszystko w nim implodowało i w jednej sekundzie poczuł obezwładniającą pustkę, która czyniła każdy krok cięższym, bardziej nieporadnym i zawodnym. Jego żądza zemsty, niczym zmęczona bestia, przysypiała.

Dotarł do recepcji, przy której czekali lekarze. Robert zaliczał się do Rady i był w randze Secundo. Jego przybycie, niezależnie od przyczyn, wymagało gotowości i dostępności najlepszych specjalistów. Nim lekarz zdążył się odezwać, Robert spytał:

– Czy żyje? – Czekając na odpowiedź, zamarł w bezruchu. Siły władające wszechświatem obezwładniły czas. Są słowa, które zmieniają nasze życie, są chwile wyginające rzeczywistość, prasujące ją i gniotące. Niepoliczalne chwile zamieniają się w niepoliczalną wieczność, a my zdajemy się być tylko po to, by móc usłyszeć to jedno słowo.

– Żyje – odpowiedział lekarz. – Jest w stanie krytycznym. Ściana, za którą był, przejęła na siebie znaczną część siły wybuchu. Inaczej nie miałby szans. Mimo tego odniósł bardzo wiele ran, ustabilizowaliśmy go i przygotowujemy salę operacyjną w trybie pilnym.

– Gdzie jest teraz? Chcę go zobaczyć! – powiedział, czując, że cudem minął się z obłędem.

– Proszę za mną.

Cały personel ruszył, prowadząc Roberta Lagrande do jego brata, Sebastiana. Przed wejściem lekarz uprzedził:

– Wygasiliśmy jego świadomość i monitorujemy przepływy fal, tłumiąc na bieżąco impulsy bólu. Zaraz przetransportujemy go na salę operacyjną. Musimy uzupełnić braki w mięśniach mechanicznymi tkankami, jednak wątpię, aby udało nam się zespolić rdzeń, który został przerwany w wielu miejscach. Część organów musimy wymienić na syntetyczne, ale mózg jest nieuszkodzony. Jeśli jego ciało wytrzyma obciążenia najbliższych godzin, to jest szansa, że z tego wyjdzie. Nie chcę wdawać się w dalsze rokowania, mimo wiedzy i narzędzi, którymi dysponujemy, obszar niepewności jest zbyt duży.

Robert patrzył przez szybę na swojego przykutego do łóżka brata. Był daleki od zadumy i modlitwy. Czuł rosnącą, demoniczną złość i furję, mieszącą się ze smutkiem i strachem o jedyną bliską osobę. Te skrajności miały jednak wspólny cel – krwawa zemsta dopiero nadejdzie. Już teraz czuł, że będzie delektował się powolnym zabijaniem tego, kto to zrobił. Jego mroczną aurę wyczuwali wszyscy w pomieszczeniu, bojąc się powiedzieć cokolwiek, by nie rozsierdzić demona, by nie dopuścić do furii, która mogłaby go opanować.

Robert po dłuższej chwili opuścił zaciśnięte pięści i wyszedł z pomieszczenia, z którego przez szybę widział Sebastiana. Czasem nie pamiętamy obrazów, ale nie potrafimy zapomnieć emocji, które im towarzyszyły. Niemożliwa do uniknięcia niepamięć opuszcza kurtynę, pozostawiając nas w nadludzko odczuwalnej samotności niczym w niekończącym się dryfie w nicość. Potrzeba czasu i impulsu, by się przebudzić, potrzeba delikatności i spokoju. Jednak jak można przywołać spokój, gdy serce bije w rytmie, którego nie znamy, przynosząc zimny pot wychładzający wiszące na krawędzi szaleństwa ciało?

Jeszcze niedawno ludzkie cierpienie było słowem i statystyką przywołującą prozaiczne refleksje, że świat bywa zły. Jednak teraz Robert krwawił, próbując nie zadławić się niemożliwym do przełknięcia bólem. Cierpienie było wszędzie, chwyciło za gardło, nie znając litości. Ból, który pluł w twarz, ignorując błagania, który przynosił ciemność. Widok nieprzytomnego Sebastiana sprawił, że ze wszystkich uczuć tylko zemsta była wyraźna i ostra. Tylko ona nigdy nie potrzebuje czasu i jest gotowa od razu, bez emocjonalnych gadek, jak stary, wysłużony nóż czekający posłusznie, by wyjąć go ze skórzanego pokrowca, by szlachtować bezrefleksyjnie każdego sukinsyna odpowiedzialnego za to, co się stało, a kończąc na Daxie Unionie, separatyście.

Ocknął się z jakiegoś letargu, gdy trzymany w ręku komunikator wezwał go do głównego budynku Unii Zjednoczenia. Chwile cierpienia zawsze okrywają nas samotnością, wspomnieniami i wszystkimi alternatywnymi ścieżkami życia, które przepracowujemy w umęczeniu, jakby naszą winą było to, że nie potrafimy cofnąć czasu, nie potrafimy uchronić tych, których kochamy przed cierpieniem i bólem. Wsiadł do pojazdu i ruszył na wezwanie, próbując zostawić za sobą uczucia.

Robert dotarł na miejsce, gdy przewodnicząca Unii Zjednoczonych Narodów kończyła kolejną okolicznościową przemowę.

„... i w tym momencie na pierwszy plan wysunęli się naukowcy, gildia technologiczna, która od lat pracowała nad sztuczną inteligencją. W szaleńczym rajdzie udało im się przejąć główne systemy informatyczne zarówno megakorporacji, by sparaliżować i zdestabilizować łańcuchy dostaw, jak i komunikację rządową, by obalić nieefektywną władzę. Wojska rządowe w porozumieniu z gildią technologiczną pokonały sektor prywatny – dzięki nacjonalizacji na zasadach technokratycznych oraz modyfikacji istniejącego prawa. Gildia wiedziała, że jeśli zmiany nie staną się głębsze i bardziej fundamentalne, to nie przyjdzie żadna nauka z popełnionych błędów. Udało im się zebrać sojuszników z upadającego świata i po raz ostatni użyć przemocy, aby stworzyć nowy, który trwa do dziś – Unię Zjednoczonych Narodów.”

Wystąpienie zakończyło się i wszyscy oficjele wstali, bijąc brawo. Robert, sięgając wzrokiem przez okno, widział błękitne niebo i wtulające się w nie megalityczne struktury budynków i wież. Mimo złości i smutku podziwiał ten pejzaż, chcąc przywołać choćby na moment chwilę, gdy obok niego był Sebastian.

Usiadł przy okrągłym stole Rady, w drugim rzędzie. Porządek obrad zakładał, że sprawa zamachu będzie omawiana na samym końcu. Lagrande czuł niesprawiedliwość takich ustaleń, jednak zamiast reagować, zanurzył się w swoich odczuciach. Chciał, aby towarzyszące mu cierpienie coś znaczyło i nie przeminęło bez celu, by ból Sebastiana stał się kolejnym kamieniem w podstawie Zjednoczenia Światów.

Po wojnie megakorporacji, gdy opadł kurz, a na polach walk pozostało więcej broni niż mogących ją obsługiwać żywych, doszło do zmian. Gdy okazuje się, że bardzo

trudno o wodę, żywność i schronienie, to ludzie są w stanie zapomnieć o powodach, dla których walczyli – bo te powody przepadły: wpływy, bogactwo, ziemia, technologia. Te zalane krwią ręce czują odrazę, chcą się umyć i zapomnieć, ale nie mają w czym! Wojny ostateczne zmieniają ogład sytuacji, zerują świat i wygaszają zabójcze idee, o ile wygrywają je ci dobrzy. Po wszystkim trzeba znaleźć najmniej zniszczone miasto i nauczyć się w nim żyć, uruchomić je i odbudować, a potem robić tak z kolejnymi. Póki pamiętasz, co się wydarzyło, póki czujesz na plecach chłód przeszłości, jesteś w stanie oddać się nowej idei bez reszty – jak na ironię stajesz się dobry nie z powołania, a ze strachu. Muzea, pomniki, pamięć i nastrój zadumy stają się podstawą dla odbudowanego społeczeństwa. Podobnie jak ciągle utwierdzanie się w przekonaniu, że przemoc w imię chwilowych zwycięstw nie ma sensu.

Zjednoczenie zadziało, bo nikt nie wygrał. To nie tak, że tyrani nagle doznają olśnienia i ludobójstwo oraz *status quo* nagle są złe. Póki masz możliwość istnieć ponad konsekwencjami, robisz, co chcesz. Ludzie, którzy mają władzę, zawsze chcą jej więcej. Nigdy nie znajdziesz nikogo, kto, mając sprawczą moc absolutu, byłby wolny od pokus, kto nie wykorzystałby jej dla siebie. Gdyby któreś z państw starego ustroju wygrało, Zjednoczenie byłoby tylko bajką lub niespełnioną legendą. Najpierw trzeba stracić wszystko, pozostać z niczym, niemal ryjąc twarzą po ziemi, poczuć ból ostrza wcinającego się w szpik i rysującego kości, aby wreszcie móc odpuścić. Tyrani i ich idee, ale także niereformowalni wyznawcy muszą odejść.

To prawdziwa cena Zjednoczenia – stajesz się potworem, sam niszczysz fanatyków i niedobitki starego świata, mając nadzieję, że krew na twoich rękach kiedyś wyschnie i odpadnie, jak suszone płatki róż. To wnika jednak głęboko – chęć odwetu, poczucie niesprawiedliwości i fanatyzm. To wnika w duszę i w społeczeństwo, więc samemu trzeba splugawić historię, na bazie której zbudowano Zjednoczone Światy – po prostu istnieją ci, których trzeba zabić. Wie o tym garstka, najwyżsi rangą, którzy zabierają tajemnicę do grobu. Muszą pamiętać, że teraźniejszość zbudowana jest na kłamstwie, na słabym filarze, który niezabezpieczony może się załamać, burząc nowy świat.

Robert nie zwrócił uwagi na przerwę w posiedzeniu i siedział spokojnie z pochyloną głową i przymkniętymi oczyma. Może dopadło go zmęczenie lub też wprowadził się w trans, aby oszczędzać siły na nadchodzącą potyczkę. W pewnej chwili podeszła do niego przewodnicząca Rady, posiadająca tytuł *Omnes Unum*¹, jak nazywano urzędującą prezydent Zjednoczonych Światów, zajęła miejsce obok i delikatnie go wybudziła.

– Bądź pozdrowiony, Robercie – zaczęła spokojnie, z matczyną troską.

Ten ocknął się i poprawił w fotelu.

– Przepraszam, *Omnes*, mam dużo na głowie.

– Wiem. Mieliśmy zająć się sprawą zamachu na twojego brata, jednak musimy to przełożyć. Przedstawiciele Rady Kosmicznej mają do przekazania bardzo ważne informacje, z którymi nie możemy zwlekać.

– Ale *Omnes*... – powiedział z trudną do wyhamowania złością, chcąc, by jego słowa były znaczące, a jednocześnie nie negujące autorytetu. Po chwili przerwał, biorąc głęboki oddech i zdając sobie sprawę z daremności podejmowanej próby. – Proszę tylko, aby ta sprawa nie zniknęła. Musimy coś z tym zrobić. To z pewnością *Dax*.

– Obiecuję, że do tego wrócimy. Teraz jednak musimy zająć się innym tematem.

¹ z łac. wszyscy razem

Po tych słowach wstała i wróciła na swoje miejsce. Przy stole siedzieli wszyscy przedstawiciele doradztw w randze Prime i kilku, nielicznych kandydatów do tej roli, obecnie byli w randze Secundo, w tym Robert.

Omnes Unum objęła wszystkich wzrokiem, zerknęła na jednego z obecnych analityków Rady Kosmicznej, napiła się wody i wstała – była starszą kobietą, mającą niewyobrażalne wyczucie sytuacji. Jej długie, luźno spięte włosy i skromna suknia tworzyły obraz służącej, a nie Omnes Unum. Jednak to w skromności, dobroci, cnocie i mądrości tkwiła tajemnica jedności, a ona starała się pokazywać je całą sobą:

– Mam nadzieję, że uda nam się sprostać wiadomościom, które Prime Prospin Aras nam przedstawi. – Po tych słowach usiadła.

Prospin energicznie naciskał przypiski na holoklawiaturze. Siedząca obok Omnes Unum delikatnie szturchnęła go łokciem, ten obrócił się w jej stronę i napotkał uśmiech. Pochylił głowę na znak zrozumienia.

– Bądźcie pozdrowieni. – Mówiąc to, wcisnął przycisk i nad centrum stołu uruchomił się złożony hologram. Sterował nim, pokazując różne obrazy, opisując je i komentując. – W stronę Repo A leci gromada nieznanych i nienaturalnych obiektów. Wnioskujemy to, ponieważ gdyby były naturalne nie rozpoczynałyby manewru hamowania. Mówiąc wprost, w kosmosie nic nie zatrzymuje się samo. – Zmienił obraz. – Obiektywy Heximo A, B, E oraz H zrobiły tysiące dobrych jakościowo zdjęć. Na zbliżeniach widać, że leci tutaj jakieś czterdzieści obiektów. Podejrzewamy, że są to obce statki kosmiczne. Myślę, że zdjęcia w kolejnych tygodniach będą dużo dokładniejsze. Na tę chwilę proszę zwrócić uwagę na regularne i powtarzalne krzywizny. Każdy z obiektów ma długość półtora tysiąca metrów, szerokość około trzystu i wysokość około stu pięćdziesięciu. Określenie tych wartości zależy oczywiście od punktu odniesienia, który przyjmujemy do obserwacji, natomiast nie zmienia to faktu, że są gigantyczne. Nasze największe statki mają niespełna połowę tych parametrów. Przypominam, że budujemy piąty. W centrum tej gromady znajduje się obiekt dziesięć razy większy. Pozostałe go otaczają. – Zmieniał obrazy, manewrując dłońmi po holoklawiaturze. – Przy obecnej prędkości za cztery lata i cztery miesiące miną Repo C, natomiast u nas będą kilka, może kilkanaście minut później. Poruszają się z połową prędkości światła. Pamiętajmy, że na Repo C mamy kolonię, a w niej dwadzieścia tysięcy osób, w tym sześć tysięcy wyszkolonych wojowników Rady Broni. Przy obecnym układzie planet na Repo B dotrą minuty po osiągnięciu Repo A, w zależności od tego, na jak długo zatrzymają się u nas. Tam, dla przypomnienia, kolonia liczy pięć tysięcy osób. Podsumowując, nasza flota kosmiczna i kolonie nie mają wystarczających możliwości do obrony, a tym bardziej do ataku. Podejrzewamy, że wiedzą, że udało nam się ich dostrzec. Gdyby chcieli, mogliby już teraz wysłać w naszą stronę jakiegoś rodzaju pociski, promienie lub inne mechanizmy zagłady. Zakładamy więc, że chodzi im o miejsce do osiedlenia lub do przejęcia zasobów naturalnych. Wariant optymistyczny to uchodźcy, jednak układ tej floty przypomina formację bojową.

– Czemu zakładamy negatywny scenariusz? – zapytał jeden z uczestników spotkania.

– Zwróćmy uwagę na kilka aspektów. Po pierwsze, od ponad wieku obserwujemy otaczający nas kosmos bardzo zaawansowanymi narzędziami i do tej pory nie trafiliśmy na ślady życia, a teraz potencjalnie samo podaje się nam na tacy. Po drugie, obiektów jest dużo, więc raczej nie jest to misja dyplomatyczna czy rozpoznawcza. Także to, że widzimy takie skupisko przywodzi mi na myśl kilka możliwych teorii. Pierwsza jest taka, że zwyczajnie jesteśmy ślepi i inteligentne życie do tej pory ukrywało się gdzieś dalej i dopiero teraz wpadło w nasz zasięg. Druga jest bardziej

prozaiczna i pokazuje, że to pierwsza z cywilizacji, która opanowała technologię podróży kosmicznych, inne nie są jeszcze na tym poziomie. Trzecia, że rozwijające się światy nie miały tyle szczęścia, co my i nie stworzyły zjednoczenia i teraz szukają azylu. No i ostatnia, że na innej planecie doszło do wyniszczającej wojny, któraś z sił wygrała i teraz niczym wirus szuka nowego celu. Pamiętajmy jednak o ilości obiektów, formacji i rozmiarach.

– I ku której teorii pan się skłania? – spytała Omnes.

– Inwazja albo, patrząc na rozmiar floty, mają inne wyczucie dyplomacji.

Po wypowiedzi naukowca wszyscy zaczęli mówić, padały słowa o przełomie, odwadze i nadziei, o zagrożeniu i suwerenności. Z każdą kolejną minutą hałas się nasilał, a merytoryka odchodziła na dalszy plan.

Robert czuł ciężar zagrożenia, jednak jego pobudzone serce spychało kwestie potencjalnej inwazji na dalszy plan. Dax Union nie musiał uciekać, nie ruszył poszukiwania, nie rozpoczęto akcji odwetowej. Nikt nie podjął tematu sprawiedliwości, nie mówiąc o zemście. Zjednoczenie skupiło się na czymś innym. Powiadomiono pozostałe miasta i uzgodniono, że podczas cotygodniowych obrad będą aktualizowane informacje o przybyszach i o najefektywniejszym rozwiązaniu sytuacji. Robert czuł, że to rozważania o niczym, wyświechtana symbolika czasów minionych i retoryka pełna pustych gestów, dążąca do otynkowania protokołów jak największą ilością frazesów. Jego brat potrzebuje pomocy i zemsty teraz – w dowolnej kolejności!

Wieczorem Robert szedł ulicami miasta oświetlanych przez lśniące księżycy odbijające światło słońca. Olbrzymie budynki, które mijał, podkreślały ludzką małość – wysokie, masywne, ciężkie, o fakturach monolitu. Unosząca się lekka poświata przywodziła mu na myśl wiersz o miastach światła, w których ktoś zawsze szuka jakiejś prawdy, czasem znajdując tę, której podświadomie chciał uniknąć. Według niego Repo A stawało się coraz bardziej nieznajome, kochał jednak te pojedyncze kropki planet Gwiazdozbioru, które zdawały się płynąć skręcane wrzecionem czasu.

Tej nocy czuł troskę o miasto i ludzi, jeszcze raz, na chłodno myślał o swoim zachowaniu, starając się stworzyć jakieś nowe wzorce, by w przyszłości lepiej nad sobą panować. Dopiero o poranku, mając za sobą godziny rozmyślań i kilometry wędrówki, zdołał się w pełni wyciszyć. Chłód nocy i rześkość poranka dawały odpoczynek strudzonej duszy. Przez cały czas odbierał raporty medyczne dotyczące stanu zdrowia Sebastiana. Tak trudno o spokój, gdy jedyne, co mamy, to ból i troska, i nadzieja, która nadal nie jest niczym fizycznym.

Po wielu godzinach dotarł do domu Sebastiana. Górne piętro nie zawaliło się, mimo potężnej wyrwy na parterze. Pewnie powinien pojawić się tu szybciej, by samemu przeanalizować wszystkie ślady i możliwe tropy, jednak wczoraj był zbyt rozchwiany. Teraz też chyba nie był najlepszy moment. Jednocześnie senny i specyficznie pobudzony nie myślał logicznie. Szukając tropów trzeba być metodycznym, trzeba umieć opanować siebie, by móc opanować otoczenie. Na zewnątrz stało kilku policjantów, reszta, wraz z siłami wojskowymi, zdażyła już zniknąć. Każdy tego typu zamach lub atak na członków poszczególnych gildii czy Rad podlegał pod specjalną jednostkę wojskową.

Wszedł do środka. Skala zniszczeń była ogromna. Po chwili dostał kolejny raport medyczny. Spojrzał na wyświetlacz i poczuł bezsilność. Czuł, jakby coś w nim spadało niżej, przekraczając kolejną granicę, za którą czeka tylko to, co niewypowiedziane,

niemożliwe do nazwania, do zrozumienia, do odczuwania. Chyba tak właśnie jest, gdy mierzymy się z widmem utraty tych, którzy są dla nas najważniejsi. A teraz znikają, a my możemy tylko patrzeć, jak bledną i rozmywają się w miejscach, do których nie zdążymy już dobiec.

Gdy był na parterze, usłyszał kroki dochodzące z góry, delikatne, ale ich głośność miarowo się zwiększała. Po chwili na schodach pojawiła się kobieta o długich, czarnych, upiętych w kitkę włosach i przenikliwych, brązowych oczach. Była wysoka szczupła i wysportowana. Delikatnie pomalowała pełne usta, założyła dopasowaną koszulę i spódniczkę kończącą się przed kolanami i w żaden sposób nie pasowała do pobożowiska, po którym stapała. Miała w ręku holotablet i skaner cząsteczkowy, co dowodziło, że jest naukowcem, zaś jakość sprzętu potwierdzała jej przynależność do gildii.

Robert nigdy nie miał zaufania do osób pojawiających się w miejscach, które powinna wypełniać pustka. Natychmiast wyostrzył wszystkie zmysły, lustrując otoczenie, jakby jakiś wróg czaił się za rogiem. Był już zmęczony i zaczynał czuć się skołowany, ale nie chciał znaleźć się nigdzie indziej. Kolejne powiadomienie i kolejny raport medyczny. Stał przez moment w bezruchu, nie mogąc zebrać myśli. Trwało to milisekundy, a znaczyło bardzo wiele. Był coraz bardziej rozproszony. Z jednej strony, chciał zobaczyć brata, z drugiej, obawiał się, że będzie to ich ostatnie spotkanie. Nadal wierzył, że przeciąganie tego w czasie sprawi, że lekarze znajdą sposób, by go ocalić, że istnieje jakaś warunkowość i przeznaczenie we wszechświecie. Zamyślił się i przez moment patrzył nieobecny wzrokiem na kobietę. Ta zbliżyła się do niego i zaczęła mówić:

– Dzień dobry, nazywam się...

Przerwał jej.

– Veronica Dastis. Co pani tu robi? Gildia panią przysłała?

– Skąd pan wie, jak się nazywam i gdzie pracuję? – spytała zdeorientowana.

– Identyfikator z logo gildii technologicznej. Co pani tu robi? – zadał pytanie, a zaraz po tym sięgnął do kieszeni i wyciągnął opakowanie tabletek.

– Po prostu czułam, że muszę się tu zjawić. Czy tylko mi cały ten zamach wydaje się taki bez sensu, taki daremny? Czy pan właśnie bierze spinercjum?

– Nie i tak. Separatyści bardzo rzadko brali się za naukowców, natomiast to... – połknął tabletkę i kontynuował, rozglądając się wokół – to jest straszne. – Po chwili na jego okularach zapaliła się czerwona lampka, która swą aurą przez moment wychodziła poza oprawki.

– Ile pan tego wziął? – spytała, trochę z troski, a trochę potępiając takie zachowanie.

– Wystarczająco. – Odwrócił się na pięcie i wszedł do kuchni. Odsunął kilka zerwanych szafek i przygotował miejsce do siedzenia. Następnie podszedł do przewróconej lodówki i otworzył wykrzywione drzwi. Wyciągnął dwie butelki wody. Jedną podał Veronice, a drugą otworzył dla siebie.

– Pracuję z pana bratem – przerwała milczenie. – Bardzo panu współczuję.

– Mów mi Robert. Tak, wiem – dodał z obojętnością, niewrażliwy na słowa otuchy, na pocieszenie, które nie może wnikać głębiej, tylko odbija się jak nasiona od przegrzanej, jałowej ziemi. Po kolejnym łyku wody kontynuował. – On umiera. Od kilku godzin otrzymuję raporty medyczne. Jego stan się pogarsza, nie mogą go ustabilizować.

– Wiem, też je dostaję. Sebastian upoważnił mnie do tych informacji na wszelki wypadek.

– Czemu?

– Nie chciał zawracać panu... ci głowy, gdyby coś mu się stało. Mówił, że jesteś zajęty i musisz skupić się na pokonaniu Daxa Uniona.

– Tak – napił się wody – on jest tym bardziej troskliwym bratem, choć to ja obiecałem, że o niego zadbam... Widać role się odwróciły. Obiecałem i zawiodłem.

Veronica objęła go spojrzeniem. Współczuła mu.

W tym samym czasie do siedziby Zjednoczenia jechali Ministrowie Rady Obrony – tak nazwano zjednoczoną armię.

Rozmowa o niczym szybko zaczęła być bardziej konkretna. Gilder Keper, szef ministerstwa, zaczął:

– Daliśmy Zjednoczeniu wolność od cierpienia i tylko my rozumiemy jej cenę. Przynieśliśmy pokój i ratunek styraną wojną cywilizacji. Kanały informacyjne już podają ci jebani separatyści przypuszczają atak na członków Rady, i to w rangach Secundo i Tristum. Ilu ludzi pomyśli dzisiaj, że separatystom odjechało i trzeba ich rozpierdolić?

– To nieważne, my musimy być rozważni i zjednoczeni. Musimy być lepsi niż oni. Daliśmy nowemu światu wolność od cierpienia, daliśmy im wroga, którego mogą nienawidzić.

– Nie, Calbo, nie chodzi o to, czy nasze zasady są dobre czy złe. Chodzi o to, że wolność się zdobywa, o wolność się walczy, a my im tę wolność wciąż obiecujemy. Separatyści chcą tego, co my mamy teraz, a co przy naszych ograniczonych zasobach jest niemożliwe. Musimy wyeliminować Daxa i zastąpić go kimś nieogarniętym, kimś mniej ideologicznym, kimś kogo kontrabanda, luksus i wzmacnianie lokalnych wpływów nie znudzi. Poznałem wroga i wiem, że na Daxa to już nie działa. On przyciąga tych, którzy szukają usprawiedliwienia swoich porażek u innych. Tych, którym może wmówić, że Zjednoczona Unia jest wrogiem, że trzeba nas zarżnąć i zgarnąć dla siebie wszystko, co osiągnęliśmy. Pozwoliliśmy mu za dużo myśleć, za mało go kontrolowaliśmy i daliśmy za dużo zasobów. Pozwolę Robertowi przez kilka dni dochodzić do siebie, a potem wydam mu rozkaz. Obydwoje wiemy, że potrzebujemy kogoś, kto potraktuje sprawę emocjonalnie, kto wejdzie na wyższy poziom i będzie miał taką samą determinację jak Dax Union.

– Mimo wszystko, nie wiem, czy to dobry pomysł. Zwłaszcza teraz, kiedy leci na nas ta flota.

– Jeśli mamy być gotowi na jej atak za cztery lata, nie możemy się rozpraszać. Możemy tylko przypuszczać, ile razy ci obcy dokonywali już inwazji i jak dobrzy się w tym stali. A jeśli Dax będzie sabotował obronę, to kto weźmie za to odpowiedzialność?

Dax Union podsłuchiwał ich rozmowę, stojąc na ruinach starej wieży, oddalonej o kilkadziesiąt kilometrów od murów zaporowych miasta – wysokich, tłustych i definiujących horyzont, za którymi znajdował się świat niedostępny dla zbyt wielu. Ubrany w szarą, rozpiętą, powiewającą na wietrze koszulę, pod którą znajdował się równie szary t-shirt wyglądał jak luzak, jak jeden z szalonych podróżników, który miał

zaraz ruszyć w świat, by zdobywać bogactwo i chwałę. Jednak jego oczy zdradzały, że już wrócił z tych podróży i zamiast skarbów przywiózł obrazy, które są zbyt trudne, by je unieść. Pulsowały w nim poczucie niesprawiedliwości i złość, napędzając do robienia tego, co robił.

By zrozumieć Daxa, trzeba wiedzieć, że świat Repo A zaczął zmieniać się w zatrważającym tempie dużo wcześniej niż Robert Lagrande usłyszał o tym w szkole, że funkcją nadrzędną każdego przedsiębiorstwa było dążenie do maksymalizacji zysków. W tym czasie Dax zmuszony był dorosnąć, jego dzieciństwo zostało z niego zerwane jak koldra w zimny poranek. Podczas gdy Robert wraz Sebastianem wyobrażali sobie obrazy światłych ludzi w ładnych ubraniach, szukających sposobów, aby społeczeństwom żyło się lepiej, Dax sprawdzał na własnej skórze, że historia to tylko słowa, o których trzeba pamiętać, jeśli chce się zbudować lepsze jutro. Dysonans bezpiecznego życia w otoczonego murem mieście, a pełnego bestialstwa poza nim był ogromny.

Każdy, niezależnie od pochodzenia, słyszał tę samą historię – bardziej wygładzoną lub bardziej bezpośrednią, wulgarną: firmy zaczęły się łączyć, zwiększając swoje udziały w rynkach i wpływy w państwach przez coraz mniej legalny lobbing. Zatrudniały coraz więcej osób, które z każdym rokiem były coraz słabiej opłacane. Przepisy prawa, mające przywrócić równowagę prawną i społeczną, były blokowane przez intencjonalnie nakierowanych polityków. Zawsze bowiem udawało się znaleźć instrumenty formalno-administracyjno-prawne, umożliwiające najbogatszym omijanie systemu niczym wystrzelonych pocisków.

I tak minęło wiele lat – bez wojen i tyranii, ponieważ ludzie byli zbyt zmęczeni, by negocjować i kwestionować rzeczywistość – mieli akurat tyle, że bali się to stracić, ale zbyt mało, by przestać się szarpać. W imię światłego postępu korporacje uruchomiły programy kosmiczne. Jednak pod przykrywką cywilizacyjnego postępu na całej planecie rósł w zastraszającym tempie poziom biedy, a zużycie surowców naturalnych przybrało niewyobrażalną skalę. Natura stała się źródłem niemożliwych do odtworzenia zasobów. Mimo zmian technologicznych i coraz efektywniejszej produkcji zasoby te z każdym rokiem malały. Kolejne dziesięciolecia były niczym pudrowanie poranionej twarzy kolejnymi warstwami makijażu: zrównoważony rozwój, nowe technologie, świetlana przyszłość, „nasz świat musimy zmienić dzisiaj, bo jutra może nie być”. Wszystko zbyt trywialne, by mogło być prawdziwe. PRowcy wykorzystali odpowiednią ilość drzew, by wydrukować dostateczną ilość ulotek, które trafiły do osób, które nie chciały lub nie mogły być decyzyjne, dla których myślenie o tym, co będzie za pięć czy pięćdziesiąt lat to zbyt duży absurd, skoro dzisiaj trzeba zrobić zakupy, odrobić z dziećmi lekcje i odpocząć, bo tylko na tyle wystarcza energii.

Oczywiście pojawiali się naiwni ideowcy, ubierający te same hasła w coraz bardziej radykalne i zarazem seksowne zwroty, lecz było to jedynie nic nie warte fetyszowanie frazesów. Firmy musiałyby dostać olbrzymie środki i prawne zachęty, by w ogóle zacząć myśleć o zmianie kierunku działalności, a jedynym źródłem finansowania tych procesów byłiby ci sami styranymi pracownicy, uciśnięci kolejnymi podatkami, marzący tylko o odpoczynku i spokoju. Inny scenariusz nie mógł nadejść. Firmy posiadające aktywa o dużej wartości musiały wyeksploatować je do końca, by nie straciły swojej wartości, nie były porażką i utratą potencjału. W pewnym momencie wyzbywamy się naszej wizji romantycznej ekonomii, która daje wartość dodaną, w której podjęte decyzje rozumiemy jako te najlepsze i najefektywniejsze. Uświadamiamy sobie, że to bezrefleksyjna walka na śmierć i życie, w której główną motywacją od zawsze był zysk. Dla megakorporacji wszystkie słowa oznaczające „przebranżowienie się” były żartem.

Firmy muszą działać, maszyny muszą pracować, tylko zwroty z inwestycji maksymalizują zyski. Już wtedy rządy i korporacje wygrały wszystko – utrzymuj ludzi w permanentnym zmęczeniu i styranie, a nie będą widzieli konieczności podejmowania zmian, zetrąca się w adaptacji do coraz trudniejszych warunków, a to w końcu ich zabije – jak żabę powoli gotowaną w wodzie. Dziwne, że nikt nie dostrzegał nadziei w ludziach młodych, dopiero wchodzących w system, na barkach których to wszystko pozostanie. Uznano ich za zbyt młodych i zbyt naiwnych, by mogli cokolwiek zmienić, by ich zdanie coś znaczyło. Zapomniano, że potrzeby zmian wynikają z pojęcia dobra i zła, a one są w nas wszczepione od zawsze i nie wymagają nauki. Musimy tylko czuwać, by nikt nie zafałszował ich znaczeń.

Trwające od setek lat małżeństwo rządów i korporacji rozpadło się, gdy przywódcy zrozumieli, jak mało znaczą. Powstające megakorporacje miały budżety równe mocarstwom i zatrudniały większość populacji, pojedyncze informacje w mediach o tym, że regulacje rządowe zwiększą bezrobocie i obniżą pensję wystarczały, by partie upadały. Korporacje na przestrzeni lat stały się operatorami zasobów naturalnych, zaś przynoszący oczekiwane skutki lobbing rodził ustawy odzwierciedlające potrzeby korporacji równie skutecznie, jak realizacja listy zakupów. Po sprywatyzowaniu prawie wszystkiego, co można było sprywatyzować, rządowi pozostawały konstytucje, które mają rację bytu tylko wtedy, gdy uznaje je za obowiązujące większość, a większość była zbyt zmęczona i zapracowana, by zajmować się czymś więcej, niż tylko przetrwaniem.

Ostateczny upadek przyniosło skomercjalizowanie zadłużenia publicznego. Megakorporacje stworzyły holdingi bankowe, które finansowały dług publiczny poprzez zakup obligacji rządowych. Skala zaangażowania finansowego sektora prywatnego w publiczny stała się dla przeciętnego zjadacza chleba takim abstraktem, że wystarczała mu zdawkowa informacja w porannym wydaniu wiadomości, pod którą kryły się zapisy umów definiujące zabezpieczenie długu – surowce, ziemia i, nieformalnie, władza. Pijani władzą zawsze pomijają kluczowe fakty, a ci, którzy liczą na przebudzenie, są zwykle uciszani przez tych, którzy tak łatwo dali się sprzedać. Najgorsza i najskuteczniejsza była dżwignia finansowa – zyskali nieliczni, zaprzepaszczając szanse na lepsze życie całej reszty. I tak w odpowiedniej chwili megakorporacje wprowadziły scentralizowaną walutę – corp. Siłę nabywczą danego waloru definiowała jego powszechna akceptacja. Nacje pracowników korporacyjnych i megafabryk nie miały z tym problemu. Corpy, później nazywane cynicznie corpsami², zaczęły z powodzeniem funkcjonować na rynku walutowym, wypierając w kolejnych latach narodowe waluty. To doprowadziło do skutecznego zarządzania stopami procentowymi z poziomu Pierwszego Centralnego Banku Komercyjnego. Wyższe stopy procentowe przekładały się na coraz kosztowniejszą obsługę długu narodowego.

Przejrzenie na oczy nie zmieniło już nic. Było za późno. W pewnym momencie obawiające się bankructwa państwa powołały międzynarodowy fundusz restrukturyzacyjny, który zasilany miał być dodatkowymi podatkami nałożonymi na i tak mocno wyzyskiwanych ludzi. Korporacje wykorzystały to, wywołując olbrzymie fale bezrobocia na całym kontynencie i powodując finansowy upadek państw – niewyobrażalny brak pieniędzy, mimo tego, że za oknem dalej rosła trawa. Z punktu widzenia megakorporacji przejściowe straty były czymś na wzór inwestycji,

² z ang. zwłoki

niezbędnymi kosztami, by osiągnąć większy cel. Z punktu widzenia rządów było to przybijaniem do ściany pistoletem na gwoździe.

W ostateczności każdy, kto stoi przed utratą władzy – nie ważne, na jak iluzorycznym poziomie by ona pozostawała – wypowiada wojnę. Użyto więc wojska, by siłą doprowadzić do nacjonalizacji majątku, odebrania zasobów naturalnych i Banku Korporacyjnego. Hucznie nazwano to obroną demokracji, faktycznie – nic poza nadchodzącą wojną nie miało już znaczenia.

W różnorodności materii wszechświata tak rzadko występujące inteligentne życie zawsze popełnia te same błędy. Każde początkowo uczone jest, by czerpać z natury. Szybko jednak pojmuje, jak ją wykorzystywać i zawsze znajduje jakieś wytłumaczenie dla chciwości. Poczucie samostanowienia i przesadna miłość własna sprawiają, że ludzie dają sobie prawo, aby siłą brać co i kiedy chcą. Mówi się, że życie znajdzie sposób. I tak jest, jeśli pozostawić je w fazie samoistnienia, samoregulowania, bez stawiania złożonych tez i oczekiwań, bez zbędnych równań. Las rosnący wolno będzie trwał wieki. Jego zamknięty w słoiku fragment przeżyje, jeśli będzie odpowiednio zasilany. Jednak ponownie uwolniony skazany zostanie na szybką śmierć z nadanej mu nieporadności.

Za murami słyszy się o odbudowie miast i pokoju, o nowym i lepszym świecie. Rzadziej mówi się, że od początku był on przewidziany tylko dla nielicznych. Większość mieszkańców miasta miała po prostu szczęście, będąc właśnie tu. Inni zdążyli przybyć nim wzniesiono mury. W końcu bramy nowego świata zamknięto. Miała to być prosta statystyka – ludzie w mieście przetrwają, a ci za murami zginą, wyniszczeni niedoborami, zarazami, biedą i głodem. Jednak nikt nie był w stanie przewidzieć, że charakterność, upór i wola życia będą silniejsze niż statystyka.